



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru: Kobieta w XIX wieku (Prelekcja p. Eugenjusza Polettau). — Krzyżowe drogi. Powieść składana w listach czterech autorów. — Korespondencja z Paryża. — Pogadanka Tygodniowa. — O ubiorach.

Kobieta w XIX wieku.

(Prelekcja p. Eugenjusza Polettau).

Czem jest kobieta i czem być powinna? naturalnie nie pod względem fizjologicznym i fizycznym, ani nawet pod względem jej piękności i wdzięku, bo to pytanie dawno już rozwiązane, ale uważana jako istota czująca, myśląca i działająca, kobieta zostaje dotąd w stanie oczekiwania i przejścia, i najgłębsi myśliciele nie mogą dziś jeszcze oznaczyć stanowczo, kiedy nareszcie wyzwoli się z krępujących ją więzów, zastarzałych przesądów, i zajmie przynależne sobie stanowisko w społeczeństwie. Czem jest kobieta? odpowiedź słowami które już nie jednokrotnie wypowiedziałem: kobieta jest dowodem zbrodni mężczyzny. Nie będę tu opisywać przyszłości kobiet czyli raczej dziejów ich długowiecznej martyrologji, przypomnę tylko owe odległe wieki wśród których kobieta ukazuje nam się gęstą okrytą zasłoną, noc na jej twarzy i noc w duszy, dźwigająca ciężkie kajdany służalstwa i niewoli, i jak dzięki łasce Bożej, zwolna i z wysileniem, ogniwo za ogniwo kruszy z kolei więzy krępującego ją łańcucha. Po tyłowiekowem poniżeniu wybiła nareszcie godzina sprawiedliwości, i dziś kobieta będzie, niemal jest już, czem być powinna pod względem rozrządzania swoją osobą i myślą.

Wiele dziś bardzo rozprawiają o zupełnej równości mężczyzny i kobiety, i jak się to zwykle zdarza iż jeśli np. fiszbin zanadto się nagiął w jedną stronę, dla przywrócenia równowagi, przegina ją go zupełnie odwrotnie tak i wielu tegoczesnych nowatorów i to nawet ludzi rozumnych i zdolnych, wpadając w ostateczność, pragną dowieść wyższości kobiety nad mężczyzną. Nie! to fałsz niczem nie usprawiedliwiony; nie ma żadnej wyższości z którejby strony, jest i powinna być zupełna równość, bo ona tylko jedna może zadowolnić sprawiedliwość i tę wzajemną życzliwość i pociąg, łączące z natury mężczyzn i kobiety.

Z tego jednak nie wypływa aby nie było żadnej różnicy między mężczyzną a kobietą, są zarazem podobni i odmienni: podobni bo oboje należą do ludzkości i do jednakich zmierzają przeznaczeń, odmienni aby przeznaczenia te umilić i urozmaicić. Tak więc ci wszyscy którzy pod pozorem postępu, chcą kobietę zamienić w mężczyznę, pragną rzeczy przeciwną naturze, i sprzeciwiają się woli Boga, którego przed-

wieczna mądrość rozmyślnie zaprowadziła istniejące między nimi różnice; niech więc kobieta pozostanie kobietą a mężczyzna mężczyzną, bo wszelka pod tym względem zamiana byłaby bardzo szkodliwą dla społeczeństwa. Brońże nas Panie aby wszystkie kobiety miały zamienić się w mężczyzn: cóżby nam z tego przyszło?...

Gdyby marzenie Platona, który pod nazwą Androgyny chciał utożsamić kobietę i mężczyznę, mogło się urzeczywistnić, sama tylko przyjaźń pozostałaby na świecie, zaiste piękna i święta, ale nie zdolna dorównać miłości, miłości będącej najcudniejszym życia naszego poematem.

Natura powierzchownie inaczej utworzyła mężczyznę inaczej kobietę, lecz w odmiennych ciałach jednak mieszka dusza, jednakiemi obdarzona władzami i przymiotami. Wyobraźnia, rozum, rozważa, wola, uczucia, są zarówno mężczyzny i kobiet udziałem, tylko nie w równej dostały się im mierze; u mężczyzn zazwyczaj przemaga rozum i wola, u kobiet uczucie i wyobraźnia, bo Bóg przewidział, że dwie te istoty niezliczonymi z sobą połączone węzły i wzajemnie niezbędne sobie, różne pełnić będą obowiązki w społeczeństwie ludzkim. Mężczyzna większy zasób sił dostał w podziale, bo przeznaczeniem jego, obowiązkiem i chwałą, są cięższe prace i życie zewnętrzne; przeznaczeniem zaś kobiety jest ciche życie rodzinne, praca w domowym ognisku, zadanie niemniej chlubne i święte, jeśli mu godnie odpowiedzieć potrafi.

Długo, bardzo długo wzbraniano kobietom wszelkiej nauki i wyższego kształcenia umysłu, uważając je za występki przeciw naturze; w Grecji nawet, żony nie umiały czytać ani pisać, nauka ta była wyłącznym przywilejem heter. Dziś kwestja ta została rozwiązana stanowczo na korzyść kobiet, najpierwsi uczeni, najrozumniejsi pisarze, najznakomitsi dostojnicy kościoła, nie tylko nie wzbraniają, ale najgoręcej zachęcają je do nauki i pracy. Lecz czyż wszystkie umieją korzystać z prawa na które długie czekały wieki? Na czemże dziś w ogóle ogranicza się nauka dziewcząt? Zazwyczaj uczą je trochę grammatyki, ortografii, geografii, rachunków (o tyle aby umiała sprawdzić rachunki magazynowe i porachować się z kucharką), katechizmu i historii świętej, encyklopedycznie historii powszechnej, a na ukoronowanie edukacji, uczą bardzo niedokładnie jednego lub dwóch obcych języków. Otóż i skończona edukacja! teraz przychodzi kolej na nabywanie talentów

towarzyskich i znajomości świata, to jest: śpiewać mniej więcej umiejętnie modne piosenki i romanse, rozbijać fortepian, trzymać się prosto, uśmiechać się a nigdy śmiać bo śmiech tylko męzatkom dozwolony, umieć się tak ubierać aby uwydatnić i podwyższyć wdzięki, pięknie chodzić, pięknie tańczyć, a wszystko to w celu jak najprędzszego wydania się korzystnie za mąż. Lecz powiedzieź mi matki, które podobnie wychowujecie swe córki, na co się to wszystko przyda, od chwili gdy raz uda im się znaleźć mężów? Co poczną z tym fantem, który mojem zdaniem należałoby zamknąć gdzie szczelnie, schować najtroskliwiej razem z welonem i wieńcem ślubnym.

O! porzućmy już raz tę powierzchowną edukację tak nieodpowiednią godności i stanowisku kobiet, której celem owe zazwyczaj krótkie chwile poprzedzające zamężcie, a wychowujemy tak córki nasze, aby umiały podać najwznioślejszym na świecie obowiązkom żony i matki. Niech dusze ich umieją wnieść się do wysokości dostojnych przeznaczeń nauczycielek ludzkości. Jakkolwiek ważne mogą być obowiązki i zajęcia mężczyzny, jakkolwiek wysokie piastować mogą dostojenstwa i zaszczyty, nie zdołają oni przewyższyć świętego posłannictwa kobiety, która nie tylko daje życie dziecieniu i własną karmi je piersią, ale przelewa weń nieustannie duszę swoją, budząc zamilowanie cnoty, dobra i piękna, a może być co równie wzniosłego jak że tak powiem stwarzać i kształcić duszę?

Precz więc z owym wychowaniem zasadzającym się na obudzaniu próżności i umiłowaniu zabaw i strojów. Czas już dawać kobietom edukację której są i umieją okazać się godne, jeśli ją szczęśliwym trafem odebrały.

Nie myślemy bynajmniej wyłączać z wychowania kobiet nauki sztuk pięknych, niechaj się uczą estetyki czyli nauki o pięknie i harmonji, sztuka jest chwałą serca ludzkiego; istota ludzka nie jest zupełną jak tylko o ile posiędzie tę drugą dostojność życia, mocą której, uwielbiając piękność idealną, wspaniałość prawdy, jak mówił Platon, wznosimy się po nad siebie i wstępujemy, że tak powiem, na wyższe szczeble duszy ludzkiej. O! niech kobieta obznajmia się jak najwięcej z arcydziełami malarstwa i snycerstwa, i tym sposobem niech się uczy szanować i oceniać najcudniejsze wytwory ludzkie!

Ale nie dość jest być znawcą, nie dość nawet posiadać jedną z najwznioślejszych sztuk, to jest muzykę, oddziałyującą na wszystkie władze naszej duszy,

której słuchając wtajemniczamy się w wielką harmonię dźwięków, będącą jakby odbiciem wewnętrznej spoczywającej w nas harmonji, i uczuwamy w sobie jakąś wzniosłość i jakby natchnienie: nie dość poznać i ukochać niebiańską jej siostrzyce poezję, która podnosi, uszlachetnia i idealizuje wszelkie uczucia ludzkie i jest ich najdoskonalszym odbiciem, — jest to wiele, ale nie dosyć, i obok tego należy troskliwie kształcić i rozwijać rozum kobiety.

(d. c. n.)

KRZYŻOWE DROGI

POWIEŚĆ

składana w listach czterech autorów.

Paul Girardin	Irena de Chateaudun
Teofil Gautier	Edgar de Meilhan
Juliusz Sandeau	Rajmund de Villiers
Méry	Roger de Monbert.

(Dokończenie.)

Rozpoznałem wkrótce stronę malowniczą gdzie się znajdował ów dom przeklęty, pośród świeżości cudnej natury.

Serce ścisnęło mi się na widok prześlicznego krajo-
brazu.

Na każdym tu kroku, jest cała historia miłości, wszędzie słychać szemrzące strumyki, co powtarzają pieszczoty młodych małżonków, wszystko to oddycha szczęściem i rozkoszą. O! jakże musieli być szczęśliwi w tym raj! Jakiś niewidzialny świadek ich szczęścia, musiał im pozazdrościć i użył twój szpady na zniszczenie tego.

Ale cóż znaczy śmierć, w porównaniu z takim choćby jedno-dniowym życiem, po wyczerpaniu wszystkich rozkoszy tego świata! Widząc tego młodego małżonka wchodzącego z całym tryumfem na schody pełne kwiatów, przy świetle pierwszych gwiazd, widząc go zwracającego oczy pełne przyszłości na piękność małżonki, któżby nie zawołał z poetą:

Życie całe, za kwadrans szczęścia tego człowieka! Któżby nie przyjął pehnięcia twój szpady, w nagrodę takich chwil!

Nieszczęśliwi są ci, co go przeżyli, bo oni widzieli owo szczęście, bo ich marzenia stały się rzeczywistością innego.

Bądź dalej moim towarzyszem, drogi Edgarze, w smutnej pielgrzymce do zakłętą domu, dojdź ze mną aż do końca.

Wyszedszy z za drzew, wstąpiłem na przestrzeń pustą i odkrytą, co się rozciągała przed domem jak taras pełnym kwiatów i trawy.

Tam, jednym rzutem oka, dostrzegłem wiele rzeczy dziwnych, dwa konie zmęczone okryte kurzem w uprzedzący trawę.

Na jednym z nich przybył Rajmund na plac walki, musiał go do domu przyprowadzić służący, który zapewne czekał w czasie bitwy w ukryciu.

Żywej duszy nie było tam widać, ani w parku, ani we wsi, ani w żadnym oknie. Spostrzegłem grabie porzucone na piękne kwiaty, widocznie rzucone raptownie na jakiś okrzyk wychodzący z domu. Jedno okno otwarto; bogato zdobione go firanki, wskazywały, że tu być musi pokój kobiety, a nieporządek podniesionych żaluzji dowodził jak niespokojne spojrzenia musiały wybiegać z tamtąd w smutnych rannych godzinach. Cisza rozpaczliwa zalegała cały dom, a cisza ta była straszną w chwilach dnia, w których wszędzie widać pracę wesołą, w połączeniu ze śpiewem ptasząt.

Odważyłem się w końcu wejść na schody, przypatrując się zdobiącym je kwiatom — kwiaty łączą się z wszystkimi wypadkami życia; na progu domu zatrzymałem się by pomyśleć o tobie, by żyć i oddychać wraz z tobą, stąpać twemi nogami, bo moja wola byłaby się zachwiała w ostatku.

W przedsionku, drzwi otwarte na rozcież, ukazały mi w półciężeniu, pełno mężczyzn i kobiet wiejskich klęczących i modlących się.

Nikt nie podniósł głowy, by spojrzeć na mnie. Przeszedłem przez salon wolnym krokiem, oczy me zapełniły się łzami; zobaczyłem w jednym kącie na szesłagu, coś białego i nieruchomego, co sprawiło mi okropne drżenie... Był to... zapomniałem jej imienia, Edgarze, to była ona.

Martwa, czy żywa, spojrzenie moje nie mogło dojść tego. Zdawała się być uśpioną, włosy były rozrzucone w nieładzie.

Przy niej stał młody służący, kamizelka jego była krwią zbroczona, płakał kryjąc twarz w dłonie. Za głową leżącej kobiety, okno było otwarte zapewne dla wpuszczenia powietrza.

Okno to wychodzi na dziedziniec zupełnie zaciemniony drzewami. Dwóch ludzi czarno ubranych, z miną poważną rozmawiało z sobą na tymże dziedzińcu. Widziałem ich tylko zdaleka, zresztą nie mogłem zupełnie zdać sobie sprawy z tego na co patrzę i co widzę; me oczy, rozpacz, nienawiść i miłość, wszystko należało do tej kobiety. Byłem zagrożony w rozpaczliwej jakiejś bezwładności. Jakaś siła zatrzymywała mnie na miejscu.

Czekałem aż odzyska zmysły i otworzy oczy, nie dla tego by spojrzeniem lub słowem dodać jej jeszcze boleści, ale by jej dowieść że tam jestem, jako żyjące milczące obwinienie.

Chłopcy folwarku, weszli z zapalonemi świecami, krzyżem i wodą święconą i zmusili mnie gwałtownymi ruchami do opuszczenia zajmowanego miejsca i oddalenia się. Umysł mój był tak rozstrojony, że nie nie pojmowałem, wyszedłem z wolna na taras, z zamiarem odetchnięcia świeżym powietrzem i powrotu prędkiego.

Natura cała zdała się szydzić z otaczającej ją żałoby, bo niebo było czyste, słońce całym blaskiem jaśniało, drzewa błyszcząły zielonością, kwiatki się uśmiechały i ptaszęta śpiewały wesoło. Często to bardzo natura nie chce się łączyć z ludzkim cierpieniem, bo one często są dla niej niewdzięczne. Tworzy cuda by nas uszczęśliwić; a my wywołujemy tajemnic piekła, by paliły nasze dusze i ciała. Natura ma słuszną urągając naszym dobrowolnym bólom.

Drogi Edgarze chcę ci wtajemniczyć we wszystko com wtedy czuł. Opisuję ci każdą minutę tej godziny, chcę żebyś czuł i cierpiał ze mną.

Stałem pod drzewami, czekałem sam nie wiem na co. Jeden z owych czarno ubranych panów, jakich widziałem na dziedzińcu z drugiej strony domu, zszedł ze schodów i zbliżył się ku mnie. Zagadnąłem go jakając się, pytałem niewyraźnie, ale położenie rzeczy tłómaczyło wszystko.

— Pan jesteś zapewne krewnym, lub przyjacielem? zagadnął głosem spokojnym.

— Tak panie.

— Wielkie nieszczęście, dodał spuszczać głowę, to jest dwa nieszczęścia od razu. Biedna kobieta umarła także...

Zmysłami tylko pochwyciłem te ostatnie słowa i powtarzam je pod wrażeniem wspomnienia, jakie mi się wydaje bardzo dalekim, chociaż jest wczorajszem...

— Tak, umarła dodał; byliśmy przywołani za późno! Puszczanie krwi mogło ją być ocalić. Uderzenie było gwałtowne. Strata wielka dla kraju. Kobieta młoda, piękna jak anioł i dobra jak miłośdzie... umarła! Podniósł głowę, wskazał ręką niebo i oddalił się szybko.

Jest wspomnienie, co mnie prześladowało ciągle i nie zatrza się nigdy. To wspomnienie dręczy zapewne i ciebie drogi Edgarze. Jest to obraz wymowny i milczący, rysuje on się w przestrzeni powietrza jak całun grobowy, widmo nie dające się zatrzeć słońcem, patrzy na mnie w promieniach światła i w ciemnościach; jest to twarz Rajmunda, kiedy stanął naprzeciw ciębie w chwili walki. Jego czoło, oczy, usta i cała postać wyrażały uczucia szlachetne jakie grób miał zagrzebać.

Przybył tamże z przekonaniem fatalnem, swego bliskiego zgonu nie czuł dla nas pogardy, ani nienawiści; był posłusznym nieodwołalnym wymaganiom tej godziny, bez żalu i skargi. Mileczenie

Rajmunda, było dowodem jego przyjaźni dla nas i miłości dla niej. Jego sposób obejścia nie wyrażał rezygnacji chcąc być oszczędzaną, ani dumy wyzywającej nieprzyjaciela. Postać jego promieniała czystością. W kilku dniach związku małżeńskiego doznał rozkoszy nadludzkich, wyczerpał wszystkie radości jakie być mogą tu na ziemi, i przygotowywał się bez słabości do nieuniknionej i krwawej pokuty, za swe szczęście.

Wszystko to malowało się na twarzy Rajmunda!

Edgarze! Edgarze! jesteśmy za okrutnie pomśczeni!

Jakimże sposobem honor, owa szlachetna cnota, jest matką tylu wyrzutów?

Żegnam cię.

Roger de Monbert.

LIST XII.

EDGAR DE MEILHAN DO KSIĘCIA DE MONBERT.

Bądź zupełnie spokojnym drogi Rogerze; przebyłem granicę, nie będąc ściganym, wiadomość o nieszczęśliwym pojedynku nie rozeszła się jeszcze.

Dziękuję ci serdecznie za list, w którym mi wskazujesz sposób postępowania w razie gdyby mnie aresztowano. W razie wytoczenia sprawy, rzeczy najczystsze i najjaśniejsze przybierają pozór występku. Zresztą wszystko mi jedno niech mnie przytrzymają i obwiniają.

Nie mnie już teraz nie wzruszy, że śmiercią Rajmunda, skończyło się i moje życie.

Serce ludzkie to zagadka niewytłómaczona. Jak zobaczyłem Rajmunda przed sobą, na miejscu spotkania... jakaś wściekłość opanowała mą duszę. Rezygnacja niebiańska malująca się na jego twarzy, wydała mi się nikczemną hypokryzją. Powiedziałem sobie: nędznik udaje anioła i żałowałem że tylko szpadą dochodzę mój nienawiści. Miałem ochotę rozdrzeć mu piersi paznokciami, poszarpać serce zębami. Wiedziałem że go zabiję, byłem tego pewny, widziałem już śmierć krążącą nad nim, Cięcie me było niepewne, przypadkowe prawie z zamkniętymi oczyma, ale czułem że będzie śmiertelne. Jak Rajmund upadł, doznałem głębokiego zdziwienia, przepaść otworzyła się przedemną.

Ten trup młodzieńca leżący przed memi oczyma którego już wskrzesić niepodobna, ta krew płynąca strumieniem, odurzyły mnie mimowoli i powtarzałem gorączkowo słowa Machbeta: „A więc to krew!“

Zabrali mnie z tamtąd, wsadzili do powozu pocztowego jak rzecz nieruchomą. Jakaś cisza grobowa zażegnała mój umysł: straciłem pamięć, nie miałem żadnych zamiarów, myśli i marzeń; byłem bezwładny, chciałem się zatrzymać, rzucić na ziemię i nie czem się już nie zajmować. Nic sobie nie wyrzuciłem, nie zastanawiałem się wcale nad moją zbrodnią.

Myśl, że byłem zabójcą, nie miała jeszcze czasu opanować mój umysł; nie czułem się odpowiedzialnym za mój czyn, zapytywałem się czy ja go rzeczywiście spełniłem, czy to Edgar de Meilhan, zabił Rajmunda de Villiers? Zdawało mi się że byłem tylko widzem na tym widowisku.

O Irenie jako o niewinnej sprawczyni tego okropnego wypadku, nie myślałem prawie wcale, ukazywała mi się jak słaby cień, widziany w innym życiu! Moja miłość, me żądze, zazdrość, wszystko znikło. A wszystkie te zmiany, sprawiła jedna kropla krwi Rajmunda!

Ona umarła biedne dziecko? to jedyne szczęście, jakiego jej życzyć mogłem; to zmniejsza mą rozpacz. Gdyby ona żyła na jakimś męki na jakąś pustelniczą pokutę byłbym się skazał.

Spoczywaj w pokoju droga Ludwiko, bo dla mnie będziesz zawsze Ludwiką, nawet w niebie, gdzie się nie dostanę, bo zabiłem brata i jestem z rodu Kaina. Nie żałuję cię, jesteś w objęciach wymarzonego twem sercem. Byłaś szczęśliwą, a szczęście na ziemi jest zbrodnią, jaka bywa karana śmiercią jak geniusz i bóstwo.

Ty zapewne nie masz do mnie żalu, odgadłem w tobie aniola.

I ja szukałem ideału i znalazłem go. O piękna duszo pełna miłości, dlaczegoż ci zabrakło wiary, dlaczegoż wątpiłaś o miłości jaką zbudzić potrafiłaś? Niestety! sądziłem że jesteś kochanką, zdrajczynią, a ty byłaś sumienną, serce twoje było skarbem, jakiego chciałaś dobrze umieścić! Teraz wszystko zrozumiałem bo wie się zwykle wszystko wtedy, kiedy już zapóźno!

Byłaś w Hawrze by mnie zwrócić z drogi i uciekłaś, sądząc się być zdradzoną. Nie dopatrzyłaś rozpacz: z po za fałszywej radości, wzięłaś maskę za twarz, gorączkę serca za zapomnienie duszy! A jednak tyś była ciągle przed memi oczyma, twój obraz był ciągle w mem sercu.

Nigdy cię więcej nie kochał, skazany nie kocha więcej życia wstępując na rusztowanie, a szatan nieba z głębi swych piekieł. Gdyby mi byli otworzyli serce, imię twoje było na każdej kropelce krwi wypisane. Nie było we mnie jednego atomu, co by do ciebie nie należało. Pochyliłaś się przez chwilę nad przepaścią i cofnęłaś się z przetrachem, bo żadna kobieta nie spojrzy bez zawrotu głowy w przepaść serca męskiego. Przepaście trwożyły cię zawsze drogi aniele, jakbyś nie miała skrzydeł. Gdybyś była została jeszcze chwilę jedną, bytabyś zobaczyła daleko, pośród ciemności pośród gwiazd błyszczących odbicie twój uwielbianej postaci.

Próżne żale! próżne skargi!

Ziemia wilgotna pokryta jęj kształty delikatne! Jęj pięknych oczu, czystego czoła i prześlicznego uśmiechu nie zobaczymy już nigdy — nigdy, choćbyśmy żyli miliony lat. Piękność jęj zniknie w grobie, lecz nie w zapomnieniu! Bo i my znikniemy niedługo, jako bólem strawione istoty szukające spokoju pod zimnym kamieniem.

Wszystko to bardzo smutne i okropne. Rogerze! jakże wielkiej dopuściliśmy się zbrodni, gdyśmy już za życia zostali potępieni.

Żałuję Rajmunda, bo śmierć rozłączyła go z Ludwiką. Niech mi przebaczy! Uczyni to, bo to wielki, szlachetny człowiek i prawdziwy przyjaciel. Nie poznaliśmy się na nim bo tylko głupstwo i niekczemność są na tej ziemi cenione!

Wszystcyśmy gonili rozpaczliwie za szczęściem! Jeden go doścignął i ten umarł! Ideały należą do nieba nie do ziemi, szczęście ich było właśnie tym ideałem, mogli go utracić, bo słaba natura ludzka, wróciła wraz z nimi do swęj ojczyzny, do nieba. Niechże to nas pociesza i oprzytomnia w nieszczęściu i tej pustyni życia, jaka się przed oczyma méj duszy roztwiera.

Edgar de Meilhan.

K O N I E C.

Korespondencja z Paryża.

Istniejące tu oddawna liczne kursa i prelekcje, liczniejsze w tym roku niż kiedykolwiek, mnogich zwabiają słuchaczy. Największe tłumy zwykły się gromadzić w niedzielę na publicznych zebraniach literackich w teatrze *du Prince Impérial*. Jakkolwiek teatr ten do kilku tysięcy ludzi pomieścić może, wszakże często bardzo wielu się docisnąć nie zdoła, bilety bowiem na dni kilka naprzód są rozkupione. Z taką to chęcią każdy kwapi się zapewnić sobie możność słuchania nauki, skoro tylko dzienniki lub wieść publiczna rozgłoszą imię profesora.

Na jednym z ostatnich posiedzeń, p. Augustyn Cochlin, członek Instytutu, skreślił wymowne słowem życiorys jednego z największych dobroczyńców ludzkości, niezgasłej pamięci prezydenta Lincoln. Mowa trwała około trzech godzin z wielkim zadowoleniem słuchaczy, tak żywo zajmującym jest przedmiot, tak pociągającym było opowiadanie okraszane niepospolitym talentem znakomitego mówcy, dowcipem, trafnością spostrzeżeń, i ograne zacnością serca prawego człowieka. Spróbujemy dać czytelnikom naszym w streszczeniu i w krótkich

wyjątkach główne zarysy ciekawego obrazu jaki nam p. Cochlin odmalował.

Zaczyna od przedstawienia postaci Lincoln, kreśląc wizerunek jego rysów i postawy. Wyobraźcie sobie panowie, powiada, człowieka wysokiego na sześć stóp i trzy cale, bardzo niezgrabnego układu, z szerokim czołem i rozrzuconymi w nieładzie włosami, z okiem głębokim i smętnym, z ustami szerokimi, skłonnymi do głośnego śmiechu, z brodą tak charakterystyczną jak zwykle u Amerykanów. Wielki ten człowiek miał wielkie ręce i wielkie nogi. Gdyby się tu we własnej postaci ukazał, nie jeden z panów przygryzłby sobie usta z uśmiechem i pomyślał, że wielkie ręce objawiają cięśnię, a te wielkie nogi cechują przewoźnika łodzi. I nie było by to wcale błędem: gdyż w istocie człowiek ów był cięśnią, był także przewoźnikiem łodzi. Wśród takich bowiem zajęć, jako prosty wyrobnik, przepędził młodość aż do lat dwudziestu. Usilną pracą i nauką, w dwudziestym piątym roku został adwokatem w małym miasteczku. W trzydziestu latach był mówcą gminnym i członkiem izby prawodawczej swojej prowincji; w czterdziestu, reprezentantem ludu na kongresie Stanów Zjednoczonych; w pięćdziesięciu, prezydentem wielkiego i potężnego państwa. W pięćdziesiątym szóstym roku skończył życie pod zabójczym ciosem mordercy i przeszedł do dziejów przez wspaniałe podwoje męczeństwa. Plebejuszowski swe imię otoczył aureolą złożoną z trzech promieni chwały nieśmiertelnej: siebie samego najprzód wyniósł z nieznanego tłumu na stanowisko zaszczytne i chlubne, narodowi dał siłę niezwalczoną w chwili gdy był bliski upadku; cztery miliony wreszcie bliźnich swoich wywiódł z więzów niewolnictwa i w obiecaną ziemię wolności wprowadził.

Daléj mówca wchodzi w szczegóły życia wielkiego męża, które po krótko przebiegniemy.

Abraham Lincoln urodził się w r. 1809 w małej chatce w głębi amerykańskich olbrzymich lasów. Drewniana to była i prosta chatka, z łóżkiem z suchych liści w kącie, z otworem w dachu na wypuszczanie dymu, zbudowana przez dziadka Lincoln na szczupłe pomieszczenie rodziny, składającej się z żony i pięciorga drobnych dzieci. Dziadek ów był to poczciwy i tęgą osadnik, przybyły ku końcowi przeszłego wieku z Wirginii do Stanu Kentucky, gdzie w pocie czoła pracował na utrzymanie swojej rodziny. Sam wyrabiał i ocieszał drzewo na budowlę chatki, właściwie również rękami wykarczował kawał gruntu który zasiewał zbożem. Zresztą nie wiemy szczegółów o jego życiu, tylko że dnia pewnego podczas gdy w polu pracował, w pobliżu zjawili się dla grabieży Indianie, dawni posiadacze lasów. Jeden z nich spostrzegłszy pracującego rolnika, wycełował doń morderczą broń i na miejscu zabił. Znalezione go na świeżo skopanym przez niego zagonie. W chatce płakała kobieta wśród pięciorga drobnej dźwiatwy.

Jeden z synów imieniem Tomasz, nie umiejący ani czytać ani pisać, lecz silny i roztropny, a co więcej poczciwego serca, wychował braci i siostry. Później rodzina rozproszyła się, niektórych śmierć zabierała. Tomasz przeniósł się do sąsiedniej prowincji *Indiana* i pojął małżonkę, która go uczyniła ojcem trojga dzieci: drugim z rzędu był Abraham przyszły Prezydent Stanów Zjednoczonych.

Do dwudziestego roku życia, lata Abrahama płynęły w zaciśku. Najpierwszym ze znaczniejszych wypadków które przeważnie wpłynęły na dalszy los dziecka, była śmierć jego matki. Miał on wówczas lat dziesięć i wielką tę stratę uczuł głęboko „wszystko czem jestem, wszystko czem być pragnę, mawiał później sam Lincoln, winienem to matce mojej i błogosławię jęj pamięci!“ W istocie, pilnie badając przy skreśleniu żywota jakiegokolwiek z wielkich mężów, rzadko się trafi ażeby w dziecięcych latach jego, nie dał się dostrzedz potężny wpływ matki.

Widzieliśmy już że poczciwy Tomasz, ojciec Abrahama, krom ciężko zapracowanego chleba nie był w stanie nic więcej dzieciom swoim udzielić: brak uzdolnienia, równie jak brak czasu niepozwalał mu

zająć się ich wychowaniem. Żona zaś jego była to kobieta dźwigająca bez szemrania ciężkie żywota brzemie, jedna z tych istot silnego ducha przed którymi z poszanowaniem powinny chylić się czoła. Są one po prostu zbawieniem rodzaju ludzkiego.

Ta więc uboga matka, nie mogąca nawet przeczuć wielkich dzieł swego przeznaczeń, którego nawet pierwszych kroków na drodze wielkości ujrzyć nie miała, robiła to co robiły inne biednych matek. Oto ciepłem tchnieniem piersi ogrzewając one serce małego syna, siłą się młodości umysł zwrócić ku niebu, a instynktem macierzyńskim przeczuwając iż przygody losu, pokusy świata i burze życia zatrząść mogą kiedyś pamięć prostego słowa matki, z tak gorącą wiarą, z taką siłą potężną wszechpają w duszę imię Boga, iż dźwięk tego wyrazu nigdy w niej nie przebrzmiał, iż nawet w ostatniej chwili życia godzinie imię to znajdzie się w duszy jego wyrte, jakby wciśnięte serdecznymi matki pocałunkami.

Matka Abrahama posyłała go do szkoły. Nauczył się on czytać w jednej ze szkół bezpłatnych, które w owej epoce istniały nawet wśród pustyni prowincji *Indiana*; słuchał przytem nauk wędrownego kaznodziei, pastora Elkin. Ojciec jego przeniósł się później do Stanu *Illinois*: tam syn wyrostek pracował siekierą przy budowie nowej chaty piękniejszej niż poprzednia i zarabiał na życie wypalaniem węgla. Przyszło mu potem do myśli, że lepszy będzie miał zarobek z dostawiania miejscowych produktów do najbliższego miasta i w tym celu łódź sobie zbudował. W późniejszych czasach opowiadał, iż mając lat dwadzieścia uważał za najpiękniejszy z życia swojego dzień, w którym otrzymał pierwszego dollara za przewiezienie dwóch podróżnych. W kilka lat potem żeglował po Missisypii przewożąc do Nowego Orleanu mąkę powierzoną mu przez młynarza. W podróży tej napadło go w nocy sześciu murzynów, którzy się nie domyślali, że ten którego zamierzali zabić i obdrzeć, to przyszły wyzwobodzić ich wzgardzonego nieszczęsnego plemienia. Ale zamiar im się nie powiódł: napadnięty był silny i zręczny i napastnicy zostali zmuszeni wpław uciekać.

Przewoźnik dobrze się sprawił, ładunek swój sprzedał i za powrotem został mianowany komissantem owego młynarza. W czasie tego urzędowania bywając na targu w miasteczku Springfield, udało mu się raz jednego za zyskany grosz nabyć książkę, *Komentarz praw angielskich Blackstona*. Była to radość rzadko nader trafiająca się, biblioteka bowiem jego ówczasowa, składała się tylko z Biblii odziedziczonej po matce i *Życiorysu Waszyngtona*, który dostał od swojego nauczyciela w zapłacie za trzech dzienną pracę. Dwa te dzieła z nowo nabytem którymi młodzian karmił chęciwie swój umysł i serce, były jakby prorocstwem przyszłych kolei życia i działań jego.

W naszych krajach cywilizowanych, przy naszym trybie życia poniekąd sztucznym i wysiłonym a zawsze zgiełkliwym, nie możemy sobie zrobić wyobrażenia o wpływie jaki wywrzeć zdoła na dwudziestoletni umysł czytanie Biblii w ciszy i samotności Nowego Świata. Gdy się człowiek znajdzie sam jeden w obec przyrody z tą jedyną księgą, ona mu się opromienia blaskiem niezrównanym. W niej to odbija się świat pierwotny, życia tak koczowniczego jak cywilizowanego. To księga patryarchów i królów, maluczkich i wygnańców; mówi ona raz z siłą ognia, to znów z prostotą poufale, mową nieokrzesaną, a jakże malowniczą.

Opowieść jęj to dzieje całego ludu z jego upadkami i jego wielkością, z jego występkami i cnotami. A w pośród tego ludu jaśnieje wspaniałe wyobrażenie Boga Izraela, odwieczne, a zawsze wspaniałe korzące ducha ludzkiego w prochu ziemskiej nicości.

Pomyślimy daléj, że obok płomienia zapalonego w sercu młodzieńcem przez podobną księgę, jednocześnie inną w niem iskrę rozlit obraz życia Jerzego Waszyngtona, tego bohatera, który władzę w chwilach burzy wziął na barki swoje jako ciężar, i zawsze był „pierwszym w pokoju, pierwszym w wojnie, pierwszym w sercu swojego ludu.“

Na takich więc księgach kształcił się pierwiastko-

wo Abraham Lincolnu. Biblia dała mu wiarę i miłość Boga, opis życia Waszyngtona był mu przykładem jak być dobrym obywatelem, książka *Blask-stona* nauczyła stać silnie przy prawie.

Z takiej to szkoły młody komissant młynarski wyszedł rychło na adwokata. Najprzód był sekretarzem u innego adwokata, który zapewne uznawszy go zdolniejszym od siebie, powierzał mu sprawy i ułatwiał środki dalszego kształcenia się.

Nowy ten zawód był polem właściwym do wydatnienia szczególniejszej prawości jego charakteru. O czemże głównie myślał? Oto o tem ażeby bronić jedynie dobrej sprawy. Gdzie nie upatrywał zupełnej słuszności, tam odmawiał swego pośrednictwa; trafiało się nawet, że w chwili stanowczej cofał się od obrony gdy mu adwokat strony przeciwnej wykazał dowodnie iż słuszność miał za sobą. W obronach jego przebiegała się nadto zawsze wrodzona mu żartobliwość, ów dobry humor który częstokroć tak szczęśliwą bywa tarczą w trudnych okolicznościach życia. Mowy jego ubarwione mnóstwem anegdot pobudzały do śmiechu, ale zarazem i do zastanowienia zniewalały. Przenikliwość jego i bystrość umysłu nastroczały mu nieraz trafne spostrzeżenia, które zupełnie uszły baczności innych, a które mu przez to samo stawały się niepokonaną bronią w walce za słusznością. Przytoczymy jeden z przykładów tej szczególniej trafności.

Pewnego dnia przyszła do niego strapiona matka, poruszając mu obronę syna oskarżonego o zabójstwo. W kobiecie tej poznał Lincoln wdowę po jednym z towarzyszy swojej pierwszej młodości, i obrony syna podjął się właśnie dla tego, iż ojciec był kiedyś zaciętym przeciwnikiem spokojnego i pilnego ucznia, dziś biegłego adwokata.

Zresztą przekonany był jak najmocniej o niewinności oskarżonego. Poszedł na sądy, i z wielkiem zmartwieniem usłyszał, iż dowodów było aż nadto do potępienia jego klienta. Spostrzegł on że według zeznań wszystkich świadków morderstwo miało być spełnionem przy świetle księżyca. Zapytuje więc raz, drugi i trzeci.

— Więc to się stało przy świetle księżyca?

— Tak jest!

— Z pewnością przy świetle księżyca?

— Z pewnością!

— Proszę zapisać do protokołu: przy świetle księżyca.

A gdy wszyscy świadkowie zgodnie zeznali nastając dobitnie na ową okoliczność, wówczas Abraham Lincoln wyjął z kieszeni kalendarzyk i dowiódł że owę właśnie nocy księżyc nie świecił. Zeznania więc świadków okazały się fałszywe.

W ciągu tego zawodu zjednał sobie przydomek właściwy dla całego biegu jego życia, *zaczętego Abrahama (honest Abe)*. Nazywano go także uczciwym i prawym gdy był prostym wyrobnikiem, i z życia prywatnego przeszedłszy w publiczne, zarówno prawością jaśniał, co zaiste nie tak często napotkać się zdarzy.

Prowincja *Illinois* zmuszoną była do prowadzenia wojny z Indianami, których naczelnik zwany *Czarnym Sokołem*, napadami niepokoił mieszkańców. Zwołano do obrony ochotników, stanął także Abraham i został mianowany kapitanem. Podobny wybór na kapitana odbywał się w *Illinois* w sposób bardzo zabawny. Dwóch kandydatów stawiało naprzeciw wojska, a żołnierze maszerowali wprost do tego któremu dowództwo przyznać pragnęli; drugi zaś pominięty, wstępował napowrót do szeregów. W taki więc sposób obrano Lincolna, lecz nie była to bynajmniej świetna wyprawa. Strzelano do Indian, którzy odstrzelali się nawzajem, a nigdy nie było zwycięzcy, nikt nawet ugodzonym nie zostawał. I Lincoln nie pomyślał się też ze swoich warzyńców, tylko ustęp ten w życiu jego, posłużył mu później niejednokrotnie do obrócenia w śmieszność przechwałek generałów, nadętych pychą z mniemanych tryumfów.

Przez swój sposób mówienia humorystyczny a pełen ścisłej loiki, Abraham pozyskał w krótkie głośnie sławę jako ludowy mówca w zgromadzeniach publicznych. Nie sadził się na czczą deklamację, lecz

celował niezrównanym talentem w roztrząsaniu kwestji.

Gdy po raz pierwszy stanął w zgromadzeniu poważnem, zbierającem się w widokach służby publicznej, chodziło tam właśnie o kandydata do izby prawodawczej. Był tam także drugi mówca pragnący mocno owego urzędu, i ten prawil przez trzy godziny, bez wytchnienia.

Ani się skrzywił, ani odpoczął, choć sam siebie nie rozumiał, ani go rozumieli obecni. Po nim zabrał głos Lincoln w takich wyrazach: „Sądzę że mnie znacie, jestem biedny Abraham Lincoln, moja polityka streszcza się w krótkich słowach: jestem za założeniem banku narodowego, jestem za oświatą ludową jak najszerszą, jestem za taryfą protekcyjną jak największą. Oto moja polityka. Jeżeli mnie obierzecie wdzięczny wam będę, w przeciwnym razie podziękuję wam także“. Oto pierwsza mowa, pierwsze wejście jego w zawód polityczny. Został mianowanym i udał się pieszo do Springfield dla wzięcia udziału w prawodawczych pracach: lecz zakres prac tych małej był wagi, i Lincolna głównie w zebraniach ludowych kształcił się do powołania publicznego mówcy.

Kwestja niewolnictwa zaczynała być wielką kwestją polityczną w Stanach Zjednoczonych.

Lincoln od lat dziecińczych stanowczym był przeciwnikiem niewolnictwa i on to wyrzekł owo zdanie zwyciężające, streszczające w sobie długie dowodzenia: *Jeżeli niewolnictwo nie jest złem, nic złem nie jest*. Trzymając się stale tego zdania, jawnie powstawał przeciw niewolnictwu w takim czasie, kiedy to nie popłacało bynajmniej, kiedy i w jego prowincji i w ościennych również ogromna większość przeciwną była opinii, którą on w brew swoim osobistym interesom, lecz skutkiem zwykłej prawości uznał za swoją, i której wiernym pozostał do ostatniej chwili.

W tych zebraniach ludowych musiał Lincoln walczyć przez lat 15 z potężnym przeciwnikiem. Był nim Stephen Douglas, osobistość sprzeczna pod każdym względem z Lincolnem. Człowiek ten usadziwszy z błyszczącym okiem o rumianych policzkach, był nadzwyczaj ruchliwy, zadziwiającej czynności i wymowy niepospolitą.

„Patrzcie na mego antagonistę Douglasa,“ powiadał Lincoln, „wszyscy są po jego stronie, boć dosyć spojrzeć na jego kwitnące oblicze, na żywość jego wzroku, widać zaraz jak z nich tryskają posady, poselstwa, łaski: a za mną cóż mówi? Cóż się możecie spodziewać po człowieku wysokim, kościstym, posępnym? Z żadnego z mych członków nie dadzą się wysnuć nadzieje obiadów, bogactw, dostojeństw!“ Tak jest, powierzchowność jego była ujemną, lecz loika dodatnią stroną i przeważającą. Sławną była ta walka słowa którą w różnych miastach staczali z sobą ci dwaj przeciwnych obozów zapasnicy.

A przecież obaj pod jednakowem godłem walczyli, też same mieli na ustach wyrazy: jeden jak drugi w imię wolności zdania swego bronił; lecz oczywiście nie też same znaczenie, miał dla każdego z nich ów wyraz.

Linkalu został członkiem kongresu Stanów Zjednoczonych w 1858. W tym to okresie pod prezydenturą Polka i Buchanana kwestja niewolnictwa wzrosła do takich rozmiarów iż nad innemi zapanaowała.

W niej się zawierała w pewnej mierze i druga, już od lat kilkunastu nurtująca Unię, to jest kwestja przewagi pomiędzy Północą i Południem. Rozwiązanie jednej jak drugiej przyspieszył prąd zrazu skryty, niby mało znaczący, a z postępem czasu coraz jawniejszy, coraz więcej pociągający za sobą umysłów, który miał zatrzeć z wielkiego Państwa ohydny tę plamę co kaziła jego sławę, i niby grzech pierworodny zatruwała w zarodzie wszelkie chwalebne dążenia. Z razu myśl ta kielkowała w łonie małej liczby zacniejszych jednostek; — okrywano ich śmiesznością, odpychano, potępiono. Znaleźli się szaleńcy, zuchwali w swoim uporze, co się dali więzić za te urojenia. Byli to ludzie bez stanowiska, bez władzy, bez podpory. Następnie myśl

tę podjęło kilka szlachetnych wyższych umysłów i dało jej nowe życie. Mąż ewangeliczny, Channing, odział ją szczytnym urokiem świetnej i czystej wymowy. Przeszła na struny lutni poety: Longfellow ją w dźwięcznych rozgłosił tonach. Pod tklivem piórem kobiecem przybrała kształty dramatycznej powieści: pani Beecher-Stowe opowiedziała co na własne widziała oczy, jakie uczucia sercem jej wstrząsały; a te opisy rozchodząc się po kraju, świat cały obiegając, w najdalszych stronach obudzały europejską opinię. Popęd stał się ogólnym i stworzył najszlachetniejszą kartę w dziejach XIX wieku.

Jakiż udział brał Abraham Lincoln w tej wielkiej walce złego z dobrem? Czy to w kongresie czy na zgromadzeniach ludowych, udział ten był tak wielki, tak potężny a zarazem nacechowany umiarkowaniem; iż kiedy w r. 1860 zebrała się w Chicago wielka konwencja, jak nazywają w Stanach Zjednoczonych, dla obioru prezydenta, przedstawiono Lincolna na kandydata. Było na ówczas kandydatów sześciu i wszyscy głośniejszych od niego imion, a nade wszystko sławny Sewart, którego nazwisko ściśle z imieniem Lincolna związane, godne jednakićj z niem chwały. Wszakże przy głosowaniu, nazwisko Lincolna ze sześć razy miało za sobą większość.

Tymczasem Lincoln siedział spokojnie w swoim domku w Springfield. Przy przedostatnim głosowaniu, jeden z jego przyjaciół przesłał mu telegramem te słowa: „Będziesz mianowanym jeżeli przyrzekasz dać posady adwokata jeneralnego i Głównego Dyrektora Poczty panom X. X.“ — Lincoln natychmiast odpowiedział następującą depeszą: „Na żadne targi nie przystaję i odmawiam bezwzględnie.“ Tegoż wieczora nowy telegram donosił mu, iż został Prezydentem Rzeczypospolitej. Niedługo ujrzał niezwykle zbiegowisko przed drzwiami swojego domku. Wieść bowiem się rozniosła a nikt wierzyć nie chciał. Znajdował się szczególnie w tłumie otyły Anglik osiedlony w Springfield, który krzyczał na całe gardło:

— To rzecz niepodobna! Cóż to, myślicie żeby obrano prezydentem Stanów Zjednoczonych człowieka, którego ja sam dziś rano widziałem jak kupował za 10 sous befszytk i w papierze niósł do domu na śniadanie“.

A jednakże to on sam, Abraham Lincoln, został wybranym na Prezydenta Stanów Zjednoczonych i we dwa dni potem deputacja z Gubernatorem prowincji na czele, przybyła dla oznajmienia mu tej wielkiej nowiny. Zakłopotał się i zasmucił, wiedział bowiem czego się podejmuje i nie ufał sam sobie: lecz przyjął poselstwo z prostotą rozrzuwającą. Sam drzwi otworzył, a po wysłuchaniu wiadomości o swoim obiorze na Prezydenta, zawołał na służącą, kazał podać szklanek i rzekł do członków deputacji:

— Wybaczcie panowie, ale u mnie nie ma innego napoju oprócz piwa, i to czystego ojca Adama, to jest wody.“

I tracili się z sobą szklankami wody.

Lincoln przepędził jeszcze parę miesięcy w swoim domku, gdyż konwencja miała miejsce w Czerwcu, a Elekcja formalna odbyła się w Listopadzie, instalacje zaś aż w Marcu. Na wielkie jego zdziwienie, do domku tego zaczęła się zjawiać mnogość niezwykle przyjaciół których nawet wcale nie znał; mówił wówczas do żony:

— Dziwna rzecz! odwiedza mnie teraz szóstą część narodu pragnąca żyć kosztem pięciu innych; ale ja nic nie chcę słyszeć o ich żądaniach, nikt się nie dowie kogo sobie wybiorę na moich urzędników aż kiedy się wprowadzę do białego domu.

Przed odjazdem do Waszyngtonu, który nastąpił 11 Lutego 1861 roku, wielki ten a przedewszystkiem zacny człowiek, żegnał tklivą i uroczystą mową pocziwymi mieszkańcami Springfield, świadków przez lat wiele prac jego wytrwałych i pożytecznych chociaż mało głośnie.

„Przyjaciele moi, — rzekł on — nikt nie pojmie z jak wielkim smutkiem rozstaje się z wami. Wszystko czem jestem winienem tutejszej ludności. Tu przeszło ćwierć wieku przeżyłem, tu dzieci moje na świat przyszły, jedno z nich tutaj pogrzebane. Nie wiem czy się już kiedy ujrzemy. Obowiązek

który na siebie przyjął cięższym jest nad wszystkich — jakiegokolwiek od czasów Waszyngtona barki ludzkie dźwigały. Wielki ten mąż nie byłby mu nigdy podołał bez pomocy Opatrzności w której niezmienną ufność pokładał. I ja też czuję że się nie ostoje bez tej samej siły, która mu była podporą, i jam też Bogu zaufał, a wy moi przyjaciele prosicie Go by mi swęj pomocy nie usuwał. Bez niego nic, z nim wszystko. Żegnam was wszystkich kochającym sercem”.

Zebrano i zachowano cały szereg mów wyrzeczonych przez Lincolna w różnych miejscach w przejeździe jego z Springfield do Waszyngtonu. Szacowny zbiór ten zawdzięczamy staraniom pana Francis Lieber. Nie tu miejsce by je przytaczać. Wspomnimy tylko dziwnie prorocze słowa, które wyrzekł w Filadelfii: „Przedź mnie zamordują na miejscu niżej od zasad moich odstąpię”. Od chwili bowiem gdy został powołanym do przewodniczenia losom państwa, niepojęte przeczucie sercem jego oświadczyło.

W istocie horyzont coraz się bardziej zaciemniał, groźne chmury zapowiadały straszliwą burzę. Formalna nominacja nowego Prezydenta nastąpiła 6 Listopada, a 10 tegoż miesiąca ogłoszono w Charlestonie oderwanie się Karoliny Południowej. W Kwietniu roku 1861 po raz pierwszy Lincoln zagaił otwarcie kongresu, a w dni kilka bombardowano fort. Sumter i zacytował Prezydent zrzucając z siebie tego adwokata, stanął od razu oko w oko z wojną domową, która olbrzymie przybrała rozmiary, i w czteroletnich zapasach pochłonęła przeszło dziesięć miliardów i milion ludzi!

Świat cały patrzył z podziwem i zgrozą na te tytaniczne boje, zjadłością okropne, lecz szczerze osiągniętym rezultatem. W wojnie tej Ameryka zapłaciła potokami krwi za wszystkie cierpienia swoich czarnych bliźnich, okupiła złoto wyciśnięte z krwi i potu biednych niewolników przez półtrzecia wieku.

Przez ten cały czas Lincoln zostawał w Waszyngtonie, w skromnym Białym-Domku, gdzie dźwigał podwójne brzemie spraw politycznych i publicznej służby, z kąd kierował krajem w kolejach groźnej walki, a zarazem reprezentował naród w codziennych obowiązkach swego urzędowania.

Jednego dnia pewien major z wojska, będąc na obiedzie u Prezydenta rzekł mu:

— Zbyt pan dobrym jesteś iż przyjmujesz wszystkich, kto tylko pragnie się z panem widzieć; w wojsku naczelnym dowódca każe adiutantom swoim rozmówić się z interesantami, a sam posłuchanie udziela tylko w najważniejszych sprawach.”

— To bardzo być może — odrzekł Lincoln — iż tak się dzieje w waszych obozach, lecz w zawodzie cywilnym gdybym tak robił nie byłbym reprezentantem narodu. Zapewne że te odwiedziny dużo mi zabierają czasu, lecz z drugiej strony przez to zektnięcie się z ogółem, oddycham tą samą atmosferą co lud mnie otaczający, łatwiej mi pamiętać że z łona jego wyszedłem i za lat parę znów w nią powrócę, nazywam to *kąpaniem się w opinii publicznej*.

I przyjmował wszystkich bez wyjątku.

Najdłuższe posłuchanie udzielał ubogim cierpiącym, a zwłaszcza rannym wojskowym.

Przyjmował także malkontentów, którzy ganili jego czynności i domagali się innego kierunku rzeczy. Dla tych miał dzielną broń odporną w humorystycznych anegdotkach, w które umysł jego tak obfitował.

Przychodzili też ludzie którym było pilno, naglili go do kroków stanowczych a według niego przedwczesnych. Tym powiedział:

— „Kiedy Blondin przechodzi po wyciągniętej linie nad kataraktą Niagary, nie mówicie: Blondin nadto się pochyla na lewo albo na prawo, źle równowagę utrzymuje, Blondin niezgrabny, Blondin nie piękny, — lecz oddech wstrzymujecie i posłacie mu życzenia, aby na drugą stronę dobiegł. A więc i ja na nitce przechodzę po nad straszną kataraktą, proszę was zatem powstrzymajcie oddech i życze mi, abym do drugiego brzegu doszedł.”

A byli także inni słabi lub tchórze, którzy mu radzili ugody i ustępstwa. Takim znów powiatkę mówił:

W młodości mojej znałem cieślę, który się chwalił że na wszystkich potokach mosty stawia. Razu jednego ktoś chcąc sobie z niego zażartować, rzekł mu: a czy zbudowałbyś most — od ziemi do piekła? — zapewne, odpowiedział, wystawiłbym z łatwością most między ziemią a piekłem, tylko zdaje mi się że po drugiej stronie nie miałby się na czym oprzeć. Otóż i ja tę samą uwagę mam na względzie co ów cieśla.”

Niepospolity ten człowiek przed publicznością tak wesół i poufale żartobliwy, w obec obowiązków wysokiego swego posłannictwa, powagą i troską myśl swą przyoblekał. Pracował dzień i noc. Zaraz przybrał sobie na ministrów swoich współzawodników do Prezydentury i w ogóle ludzi najbardziej w Unii poważanych, takich jak sławny Seward, uczony Chase, energiczny Stanton. Sam nie był ani wojownikiem, ani finaasistą, ani dyplomata, a jednak organizował wojska i mianował najlepszych dowódców, umiał skłonić naród do ofiar ogromnych, wzbudzał zaufanie w kongresie, z godnością stawiał czoło niechętnemu usposobieniu obcych mocarstw, a z krajem j z opinią publiczną znosił się sprawozdaniem tchnącymi siłą i szczerością, a często wielce wymownymi.

Była epoka w której się w nim rozwinął dar wymowy: winien go być głównie Szekspirowi. Lincoln uwielbiał z zapalem tego pisarza, umiał na pamięć całe sceny z Makbeta, z Hamleta i często je deklamował z duszą. Wiadomo że i on sam wypłakał nie jedne rymy w chwilach wielkiego ucisku serca, kiedy wewnątrz boleć przy wybuchu wojny, gdy go dotknęła śmierć drogiego przyjaciela półkownika Ellsworth, wiadomość o klęskach tak wielkich, nade wszystko strata jednego z trzech synów, Williama. Ugodzony podobnie ciężkimi ciosy człowiek tak sercowy, lecz pełen chrześcijańskiego ducha, przyjmował je w duszy jako karę niebios, i ślubował iż ogłosi emancypację niewolników, jak skoro tylko los mu poszczęści na polu walki, i gdy władza dyktatorska koniecznością wojny w ręce jego przejdzie.

Nadeszła wreszcie upragniona chwila, i 1 Stycznia 1863 roku ogłoszoną została proklamacja skreślona przez Lincolna, proklamacja nieśmiertelna, stawiająca go w rzędzie najpierwszych dobroczyńców ludzkości. Łatwo pojąć jaka radość spłynęła na to zacne serce gorączką przesiąknięte! Jak świeży i czysty powiew ochłodził to uznojone czoło, schyłone pod bólu brzemieniem! Zaiste, w wiekowym dziejów przebiegu, w niezliczonych dniach istnienia ludzkości na ziemi, cóż jest piękniejszego nad tę świętą chwilę, w której ów wyrobnik, ów mąż nieposzlakowanej prawości, wykarmiony Biblią i wielkim przykładem żywota Waszyngtona, ów prawdziwy chrześcijanin, mógł podpisać imię swoje na akcie, wyzwalającym jednym pociągiem pira z pod jarzma cztery miliony istot ludzkich! Zaiste, żaden zwycięzca, żaden zdobywca, żaden założyciel państwa nie miał w swem życiu godziny godnej porównania z tą chwilą, która najodleglejszej potomności przekaze imię Abrahama Lincolna, wyswobodziciela niewolników!

W wiekopomnej tej karcie, Lincoln dla tego czynu świętej sprawiedliwości wzywa „łaski niebios i uznania świata”.

Ani pierwsze ani drugie nie pozostały głuchemi na wezwanie jego, gdyż rok 1864 był rokiem zwycięstwa, a w r. 1865 Lincoln jednogłośnie został powtórnie obranym.

Dnia 4 Marca 1865 Lincoln jest na nowo instalowany jako Prezydent Stanów Zjednoczonych; w miesiąc później następuje wzięcie Richmondu 7 Marca Lincoln wchodzi do zdobytego miasta wśród oklasków swoich zwycięskich zastępów i biednych wyzwolonych murzynów, całujących ślady stóp jego. Piętnastego tegoż miesiąca umiera jako męczennik za wielką i świętą ideę! Uwiadomiono go, iż obecność jego zapowiedziana była dnia tego na przedstawieniu dramatycznym i udał się do teatru lubo mimochętnie, lecz w swoim mniemaniu

uważał owacje które mu przygotowano, jako odnoszące się nie do jego osoby, lecz do zasady i tejej należne. W teatrze gdy siedział wśród żony i dzieci, nędzny szaleniec strzelił z pistoletu i Abraham Lincoln ugodzony w głowę padł bez życia na miejscu.

Śmierć taka uświęciła chwałę tego pięknego żywota.

Łatwo sobie wyobrazić jakie uczucia, jakie przeżalenie wstąpiło całym narodem, gdy się wieść rozniosła o tym nagłym ciosie, — a tu niedokonane jeszcze wielkie dzieło, pojednanie jeszcze niedostatecznie ustalone. Na południu zarówno jak na północy żałoba powszechna ogarnęła umysły. Ustały prace, rzekłbyś że życie narodu zatamowało się na dni kilka, gdy martwe ciało wystawiono najprzód na widok dla tłumu oszalałego ze zgrozy i trwogi, a następnie obnoszono je z miasta do miasta.

Wszak to pięć lat temu jak Lincoln w tryumfie nowo osiągniętej władzy przebywał drogę z Springfield do Waszyngtonu. Dzisiaj innego rodzaju tryumf towarzyszy jego zwłokom w pochodzie z Waszyngtonu. Po zatrzymaniu się z kolei w stolicach wszystkich Stanów, przybyły do owego małego miasteczka, co było niejako kolebką jego zawodu, gdzie przeżył młodość nieznana, dokąd dzieckiem ubogiem przybył w nędznej odzieży, gdzie pracował w charakterze męczennika, lecz po zapewnieniu zwycięstwa tej wielkiej idei, dla której gotów był poświęcić, dla której poświęcił życie.

Gdy zakres naszego sprawozdania stawia nas w niemożności powtórzenia nie tylko znacznej liczby szczegółów z tego znakomitego żywota, które w sposób tak zajmujący skreślił nam p. Cochlin, ale i wielkiej części trafnych i szczytnych mówcy uwag, zakończymy powyższą treść jego opowiadania własnymi słowami, które on sam mowę swą zakończył.

„Otóż widzieliśmy najzaciewniejszego z ludzi, za jego krokami w ślad szliśmy, słuchaliśmy jego mowy: patrzyliśmy jak się wdierał na szczyt chwały bez zdeptania pod stopami swoimi ani jednej cnoty, ani jednego prawa, wpośród okoliczności trudnych i groźnych.

Rodzaj ludzki wydał bohatera!

„Zaprawdę, panowie, ja nie nie przesadzam! Opowiadają nam o wielkich Herkulesa pracach, mamy legendy o rycerzach poświęcających życie dla prawdy. A czyż w tych odwiecznych wspomnieniach znajdzie się coś piękniejszego nad żywot węglarza z Springfield.

„Oto zdaje mi się że go widzę u podnóża góry, zwolna postępującego stopniowo coraz to wyżej, aż do wierzchołka, wśród przeszkód, przez zapory, przez próby ciężkie nagromadzone tajemniczą ręką na drodze życia jego. Z kolebki wychodząc napotyka biedę, pracą pokonywa potwora i nędza się cofnęła. Dalej mu nieumiejętność drogę tamuje: dniem i nocą chwile pracy odkradzione poświęca nauce, i nieumiejętność zwyciężona. Wstąpił wyżej, a tu spotyka przesadę, najstraszliwszego wroga, opierającego się na sędzie ogólnym i na jego nizkim pochodzeniu: z tym wzięt się za bary i tego zwyciężył wśród oklasków ludu, który mu powierza najwyższą władzę chociaż się o nią nie starał. Ale to jeszcze nie wszystko! Wszakże na tym szczyście stanie przed nim ambicja, duma osobista, egoistyczna, ta syrena ułudna a niebezpieczna: i z tą nie waha się zmierzyć ten mąż prawy, i ją także z drogi swęj usuwa, bo nie marzy on o zapewnieniu wielkości dla swego rodu, dba jedynie o wielkość dla rodzinnego kraju.

„Na ostatku widzę go niby wśród ogromnego pożaru: rzuca się sam cały w ogień by uratować krajowe prawa, by nędzarzy ze strasznęj wydrzeć niewoli. Wśród tej pożogi widzę go jak on niby matka naród swój na ramionach dźwiga, kruszy więzy braci i podnosi ich na wiek wieków do godności wolnych ludzi. A gdy pożór zgaszony, znów go widzę, padającego pod śmiertelnym ciosem, — lecz okiem konającym patrzy na dokonane przez siebie wielkie odrodzenia dzieło!

„Któż mi zaprzeczy jeżeli w mężu tym i znam jeden z najwznioślejszych i najszanowniejszych typów plemienia ludzkiego? Wymawiając imię Abrahama Lincolna czuję, że mię przebiega ów dreszcz podziwu

jakiego doznajemy mówiąc z odkrytą i pochyloną głową: *oto wielki człowiek!* Lecz w piersi mojej inne jeszcze drga uczucie, uczucie tkliwego poszanowania, które ogarnia całą duszę, kiedy o człowieku powołanym do tak wysokiej władzy, można z rzetelnym sumiennem przekonaniem wyrzec: widziałem wielkiego męża, ale co więcej, widziałem *człowieka prawdziwego i zanego!*

K. G.

PRZYCZYNNKI

DO HISTORJI LITERATURY POWSZECHNEJ.

Sandor Petoeffi

Poeta Węgierski.

W r. 1849 był adjutantem w wojsku węgierskiem człowiek młody, zaledwie 26 lat liczący. W czasie ostatniej bitwy na granicach Transylwanii, pod Segeswar, widziano go jak rozwodził rozkazy na wszystkie strony i jak nieraz walczył z zimną krwią, jak stary doświadczony wojownik. Wkrótce potem młody oficer rzucił się w wąwozy Karpacie i od tego czasu wszelka wieść o nim zginęła. Czy umarł? czy znalazł przytułek zagranicą? Czy można się spodziewać że wyjdzie jeszcze z ukrycia? Nie wiadomo! Dziś jeszcze wszyscy czekają powrotu młodego adjutanta. Tym to sposobem, około nazwiska tego oficera, wyrobiła się między Węgrami cudowna legenda—był to Sandor (Aleksander) Petoeffi.

Petoeffi nie wrócił dotąd. Może ciało jego niepożreżbione rozszarpali wilcy lub drapieżne ptaki, ale za to pieśni jego stały się już teraz popularnymi w Węgrzech i zaczynają pomału przedzierać się do Europy, zwłaszcza odtąd, kiedy Kertbeny, chcąc zapoznać Europę z poetycznymi skarbami swojej ojczyzny, przełożył na język niemiecki lepszych poetów węgierskich między którymi najświetniejszym i najoryginalniejszym jest Petoeffi.

Z tych to tłumaczeń Kertbeny'ego, z wielkiem zadziwieniem dowiedzieliśmy się Europa, że jest na świecie jakaś literatura węgierska. Dotąd historia nie o niej nie mówiła; nawet tacy uczeni jak Eichorn i Buterweck, w swoich dziełach traktujących o literaturze powszechniej, ani słowa o węgierskiej nie wspomnieli. Nawet Gete, tak lubiący narodowe śpiewy Serbów i Czechów, który napisał tyle pięknych rzeczy o poezji ludowej we wschodniej Europie, nie wiedział że Dunaj Madziarów, ma tak samo swoich poetów jak Dunaj Słowian i Rumunów. Pierwszy Wachter wspominał o Węgrzech w swojej *Literaturze Powszechnej* ale bardzo krótko i niedokładnie. Dzisiaj dopiero, dzięki usiłowaniu pana Kertbeny, literatura węgierska zaczyna występować na widownię. Wiemy przynajmniej jaki był stan nauk w Węgrzech, kiedy Petoeffi układał swoje pieśni, wiemy jacy byli jego nauczyciele, jego współzawodnicy i jego uczniowie; a tem samem możemy z dokładnością oznaczyć jego talent, oryginalność i zasługi.

Pomniki węgierskiej poezji sięgają najdalej XVI wieku.

W pośród wielkich średniowiecznych wojen, kiedy Huniadowie tak bohatersko odpierali napady Turków, byli zapewne narodowi poeci, niby greccy rapsodzi, ale zaginęli zupełnie, bo nikt nie postarał się zebrać ich śpiewów. Dopiero w XVI wieku, po strasznej klęsce, poniesionej przez Ludwika II w 1526 r. pod Mohaczem, kiedy całe prawie Węgry uległy przed Turkami, zjawiają się poeci.

Najpopularniejszym poetą takim z XVI wieku jest Piotr Illofieli, autor znanego poematu *Taldi* a wskrzeszonego dzisiaj przez Jana Arany. Taldi ten, rodzaj rozbójnika bohaterskiego, miany powszechnie za kryminalistę, jest wiernym obrazem węgierskiego narodu w czasie bisurmańskich napadów.

Ale różne inne nieszczęścia i inny kierunek oświaty na dworze i w wyższych klassach, przytłumił te naiwne objawy narodowej poezji. Za czasów Matia-

sza Korwina przemagała w Węgrzech cywilizacja odradzających się Włoch; w XVI znowu wieku duch niemiecki przemógł ducha włoskiego; w XVII i w XVIII wieku pisarze węgierscy naśladowali Francję za Ludwika XIV.

Dopiero przy końcu XVIII wieku, przebudziła się ze snu literatura węgierska i zaczęła pomału odrzucać naśladownictwo obcych wzorów i stawiać się rodzimą, narodową.

Pierwszym wyobrazicielem poetycznym tego nowego zwrotu był młody oficer Aleksander Kisfaludy urodzony w Sumeg r. 1772. Pochodził on z bardzo starożytniej rodziny, służył w węgierskiej gwardyi i bił się z Francuzami podczas pierwszych bitew rewolucji. W r. 1796 dostał się do niewoli w Medjolanie, z kąd odesłano go do Francji i wyznaczono na miejsce zamieszkania miasto Avignon. Tutaj to, otoczony wspomnieniami trubadurów i Petrarki poczuł w sobie Kisfaludy pierwsze natchnienia poezji. W r. 1797 powrócił do ojczyzny i cały poświęcił się naukom. Pierwszy jego poetyczny utwór pod tytułem: *Pieśń o miłości Himfy* pokazał się w r. 1801. Zamknąwszy się w swoim majątku nad jeziorem Balaton, opuścił tę samotnię dopiero w roku 1809 i miał udział w sławnej wojnie z tego roku. Wyplaciwszy należny dług wrócił do swego ustronia a umarł r. 1844 przez cały kraj opłakiwany.

Aleksander Kisfaludy nie był wcale jednym z owych potężnych geniuszów, co to wyspięwiają ducha epoki; natchnienie jego było dosyć powierzchowne a język chociaż melodyjny był bez siły i zapału. Całą jego zasługą jest wiara w przyszłość języka i literatury węgierskiej; przykład który dał następcom swoim, wystarcza mu na wielką chwałę.

Obok niego, brat jego rodzony Karol Kisfaludy, młodszy o ośmnaście lat, także oficer od huzarów, i równie walczący nieraz przeciw Francji, próbował zrobić dla węgierskiego teatru to co zrobił brat jego starszy dla poezji bohaterskiej i lirycznej.

Karol Kisfaludy umarł r. 1830 mając zaledwie 40 lat. W ciągu ostatnich dwunastu lat życia napisał czterdzieści sztuk dramatycznych, tragedji, komedji, które do dziś dnia jeszcze stanowią główną część repertoaru narodowego teatru w Peszcie.

Na cześć tych dwóch braci, jeszcze za życia starszego, bo w r. 1836 założono *Towarzystwo Kisfaludy*, rodzaj akademii, złożony z dwudziestu członków, które corocznie rozdaje nagrody za najlepsze utwory poetyczne i nie jeden już talent na wierzch wydobyło. Jeszcze za życia dwóch Kisfaludy, zaczęli się pojawiać różni poeci, ale już z innym charakterem i dążnościami. Tamci dwaj bracia byli poetami, jeżeli wolno tak powiedzieć, arystokratycznymi, żeby zaś ta nowa poezja stała się poezją narodową, potrzeba było żeby miała swoich reprezentantów i w stanie średnim i w ludzie.

Michał Csokonai, wesely śpiewak byłby może został ludowym poetą swojego kraju, gdyby był nie umarł w kwiecie wieku — ofiarą nieporządnego życia. Utwory jego nie mają jeszcze stanowczo wyrobionego charakteru; czepiają się to przekwitłej literatury XVIII wieku, to znowu podają ludowych. W pierwszych jest słabym i nudnym, w drugich bystrym i oryginalnym. Wiele z jego pieśni zachowało się w pamięci ludu wiejskiego, i nie jedne śpiewy, pod wielu względami ważniejsze nie mogły ich przysłuszyć.

Daniel Berzsenyi umarł r. 1836 i Franciszek Kölessey umarł r. 1838, są pomiędzy tymi młodymi poetami wyobrazicielami klasy średniej. Pierwszy wyborny liryk napisał sławną *Ode do Węgier*; drugi przetłumaczył Homera i napisał kilka ballad; pierwszy naśladował Włochów drugi Niemców, to też oba należeli do literatury akademickiej więcej niż do poezji żywej.

Zjawił się wreszcie prawdziwy artysta-poeta Michał Vörösmarty, który korzystając z półwiekowej pracy swoich poprzedników, wyrobił ostatecznie charakter węgierskiej poezji, co do jej formy i treści. Podług zdania madziarskich krytyków, Michał Vö-

rösmarty jest pierwszym poetą węgierskim, którego można pokazać całej Europie. Jego eposy romantyczne, jego pieśni i ody, jego opowiadania poetyczne dłuższe i krótsze, mają w sobie dużo porywających strof, świadczących o oryginalnem natchnieniu poety, opartem na sztuce, nauce ale i na prawdzie. Co do siły lirycznej porównywano go z Wiktorem Hugo, a w utworach większych rozmiarów, branych z historii węgierskiej, powiadają jego wielbiciele, dorównywa sławnemu Tegnerowi (Szwed). Kiedy umarł w Peszcie 19 Listopada 1855 roku całe Węgry okryły się żałobą; kilkanaście tysięcy ludzi szło za trumną; wszystkie znakomitości w rządzie, w naukach i w sztukach były obecne na pogrzebie. Autor *Króla Zygmunta* i *Czarodziejskiej Doliny* uwieńczył rodzącą się literaturę swojego kraju; do wielkich głosów, powiadają Węgrzy, które słyszeliśmy już w tym wieku w Anglii, Niemczech, Francji dodać trzeba jeszcze jeden głos — głos madziarskiego poety, Michała Vörösmarty.

Pewnego dnia w r. 1844 wszedł do gabinetu Michała Vörösmarty, jakiś młody człowiek pokornego ułożenia, ale nie bez pewnej dumy, z prośbą, żeby mu pozwolił przeczytać swoje wiersze. Naprawdę poważny mistrz, oblegany często podobnego rodzaju wizytami, chciał oddalić natręta, lub wykręcić się jakim sposobem od nudnego czytania przez autora we własnej osobie, musiał się wreszcie poddać tej nieprzyjemnej operacji.

Jakież zadziwienie! Przy pierwszej zaraz strofie wyteżył ucho, wzrok mu się zapalił, uśmiech radości na twarz wystąpił, a kiedy młody człowiek głosem drżącym ale przejmującym na wskrós, skończył czytanie, uradowany mistrz zawołał: „Mój przyjacielu, jesteś największym poetą węgierskim!“ Tym poetą uznanym i ukoronowanym przez wielkiego swojego poprzednika był Sandor Petoeffi.

(d. c. n.)

POGADANKA TYGODNIOWA.

W rozkosznej dolinie Karpat osłonięj ze wszech stron górami, wyższymi znacznie od północy a tem samem zabezpieczającemi ją od zimnych wiatrów z tej strony wiejących, leży wieś Krynica słynna zdrojami leczebnymi, których sława zaczyna pomału po całym rozchodząc się świecie. O tym skarbie naszej matki ziemi, chciałbym obszerniej pomówić, tak z obowiązku kronikarskiego, jak z wrodzonego pociągu do wszystkiego, co mniej cenione jak zasługuje. kryje się w kącie podobne do legendowego Kopciuszka, przez starsze rodzeństwo do kuchni wyganianego. Wprawdzie z Krynica tak źle nie jest, ale sława jej pod naciskiem uprzedzenia z ciężkim zdobywana trudem, potrzebuje rozgłosu tymbardziej, że go można oprzeć na prawdzie nie na pozorach. Wreszcie tyle piszą i mówią o cudzoziemskich zdrojowiskach, dla czegoż z tego piśmiennego gwaru wyłączać Krynice? Czyż mamy czekać aż zmieniwszy nazwę na Karpatten-quelle, więcej stanie się pognętną i dystygowaną? Tak często się zdarza, niech że ten los nie spotka Krynice.

Skuteczność wód jej już znana była w r. 1745, jak o tem przekonywają piśmienne dowody, ale dopiero od r. 1800 chorzy liczniej zaczęli do niej przybywać, co skłoniło władze rządowe do bliższego poznania własności krynickiego źródła.

Drogi w ówczas w stronach tamtych w opłakanym znajdowały się stanie: jadący najętym wózkiem co najmniej mógł być pewnym, roztrajkotania wszystkich kości, nabicia kilku guzów, ustrojenia się w kilkanaście sińców, co nazywało się szczęśliwą jeszcze podróżą, bo zostawał kark nieskręcony i głowa nie rozbita jak garnek. W samą zaś Krynica do sielankowego życia nieprzebrane znajdowały się skarby. Po urwistych skałach przebiegały kozy owieczki, szczebiotały ptaszki, woń balsamiczna płynęła falą, a

słoneczko w dzień, gwiazdy zaś z księżycem w nocy, przez wszystkie szczeliny górskich klatek, zaglądały ciekawie do ich wnętrza. Było to więc bardzo poetycznie, ale... brakło małej rzeczy, dachu i dobrze zaopatrzonej spiżarni. Gdy więc przyszły deszcze, a z nimi zalew dróg i drożyn, przez wściekły wicher można było być porwanym, przez nawałnice zatopionym, a przez brak dowozu zamorzonem, jeżeli kto nie mógł poprzestać na mleku i chlebie owsianym.

Mimo tego napływ chorych corocznie się powiększał: nadzieja odzyskania utraconego zdrowia, ma urok nieprzeparty a widać! że wody Krynickie suto niem szafowały, skoro liczba przybywających, wprędce z dziesiątek doszła do setki, później do setek, a w roku zeszłym blisko do dwóch tysięcy. W początkach mieszczono się jak można, w izbinie pierwszej lepszej, w stodółce, w stajence na prędce przerobionej: do kąpeli włożono wodę beczkami, do picia czerpano wprost z ocembrowanej studni dzbankiem lub szklanką: dziś do Krynicy jedzie się po bitym gościńcu dyliżansem, mieszka w domku bardzo wygodnym, czasem krociowej wartości, kąpie we wspaniałym gmachu łaźniennym blisko sto tysięcy rubli kosztującym, przechadza po przeszlicznych ogrodach umyślnie założonych, powraca się do kwatery po wygodnym chodniku, objaduje w porządną restauracji, słucha muzyki, posła się telegramy choćby na koniec świata, bywa się na koncertach, w teatrze, czyta różne gazety, wreszcie żyje się według woli, po pańsku lub chudopacholsku, jak kto chce lub może, w domu lub za domem, bo przyległa okolica dostarcza wszystkiego, ledwo że nie ptasiego mleka.

Doktor Zieleniewski lekarz rządowy w Krynicy, przygotowany przez siebie obszerny obraz ruchu i postępu zakładu zdrojowego tamże, pomieścił w tutejszem piśmie Klinice, poświęconem rozwojowi nauki medycznej. Są w nim szczegółowo wymienione wszystkie rodzaje cierpień, na zniszczenie których szukano ratunku. Liczba ich niemała, samych tytułów 140 obejmuje, co najlepiej świadczy o wielkich zasobach własności leczebnych tych cudownych zdroj. W roku zeszłym z tysiąca przeszło chorych, opuściło Krynicę zupełnie uleczonych 706 — ze znacznem ulepszeniem 260, bez skutku 95. Pomiedzy leczącymi się oprócz krajowych przybyśzów było wielu Niemców, a nawet dwie rodziny z Francji, a jedna z Anglii. Szczegóły to niezmiernie pocieszające, świadczące cyframi o coraz większym rozgłosie skuteczności wód krynickich. Krynicę więc czeka świetna przyszłość i ta to zapewne pewność wpłynęła na projekt wybudowania galeryi, mającej służyć za miejsce przechadzki dla pijących wody podczas deszczu i stałego gmachu teatralnego dla trupy artystów, zwykle na czas kąpeli przybywających. Jedną jednak jest tu kwestja niewyjaśniona. Otóż powiadają, że podniesieniem źródeł leczebnych krajowych, przeszkadza bardzo drogość najkonieczniejszych potrzeb życia, jaka się zwykłe we wszystkich naszych kąpielach praktykuje i to tak dalece, że wyjazd nawet do najdalszych wód zagranicznych i pobyt tamże, taniiej przypada jak np. w Solcu, Busku lub Krynicy. Podobne kwestje do nader ważnych należą: zwracamy więc na nią uwagę, bo czyż można się dziwić, że w podobnym stanie rzeczy, w wyborze miejscowości obcyzna pierwszeństwo odnosi? U nas nieprzyswyczajono się jeszcze cieszyć się zarobkiem i albo w przemyśle nic nie robimy albo zdzieramy bez litości, pragnąc z bogactwem się nagłego, ledwo że nie w dniu jednym lub w godzinie. Szczególniej przywiązane to do wszelkich nowości nie lękających się współzawodnictwa, jak np. wody mineralne sztuczne, dawniejsza na. Solcu fabryka machin i narzędzi rolniczych i dzisiejsza woda sodowa, której kubek na cztery groszy oznaczony wiele daje do myślenia.

W naszych kąpielach coś podobnego się dzieje. Niech płacą! mówi mieszczanin porządkując domek dla spodziewanych gości: tam tyle panów mówi rolnik okoliczny, to kiedyż ciągnąć jak nie teraz? dcają oba i ciągną i skubią nie zważając że chory stęka z choroby, a wzdycha sięgając do worka coraz chudsze. Zapobieganie podobnym nadużyciom należy do zarządów, i o nie głośno się dopominamy, zwłaszcza,

że zjazd gości z każdym rokiem się powiększa, a w bieżącym nawet p. Karlsbad księgarz tutejszy, ma udać się do Ciechocinka celem otworzenia tam czytelnicy zaopatrzonej należycie we wszystkie ciekawe dawne i świeże wydawnictwa. Przytem urządzi przy niej skład wszelkich materiałów piśmiennych, jak papieru listowego, conceptowego, welinowego, kopert w różnym gatunku, pieczętek, obsadek, stałówek itp. Życzę mu najlepszego powodzenia i radzę na ceny nałożyć kagańce aby nie kłuły kupujących. Majątek rzecz ponętna, aleć sądzę że p. Karlsbad zrobienie go rozłoży przynajmniej na lat kilka, w czym trudności niewiele spotka zważywszy dzisiejsze czasy, tak szczególnie dobrze dla książek usposobione.

Na bruku Warszawskim rzeczy idą zwykłym torem. Co święto majowe ranne wycieczki po za miejskie okopy, a po południu peregrynacja całej niemal Warszawy do miejscowych ogrodów, do Szwajcarskiej doliny, do Prado, lub na Czyste słynne jak dziś wystąpieniami p. Russanowskiego. W dolinie także żadnej zmiany, nawet w zbiorze sztuk odgrywanych przez p. Bilsego. Czyby więc nie należało powiększyć go dziełami tutejszych kompozytorów, jak Elsner, Kurpiński, Szopen, Ogiński, Damse, Moniuszko, Dobrzyński, Stefani, Münhejmer, Kolberg Grosman, i inni młodzi jak np. Stolpe. Pomiedzy niemi mógłby się znaleźć także polonez p. Oborskiego, głównie oddanego utworom tego rodzaju, zwłaszcza że nie brakim oryginalności. Nie są to zapewne jeszcze arcydzieła, ale p. Oborski jest jeszcze młody, pełen werwy i zapału, a po przymiotach takich przy pracy wiele spodziewać się można, a nawet mieć nadzieję, że nas czasem i arcydziełem obdarzy. Oprócz już wydanych młody ten kompozytor posiada jeszcze kilka w rękopiśmie, z pomiedzy których ułożony na kwintet zaleca się miłą nader śpiewnością i umiejętnym bardzo układem. Szczególniej godna w nim pochwały prostota, jakiej p. Oborski nie zawsze oddaje pierwszeństwo i częściej lubi się zajmować trudnościami muzycznymi, które jakkolwiek dowodzą naukowego wykształcenia kompozytora, nie zawsze stanowią wartość utworu. W prostocie bowiem natchnienie poetyczne widnieje w całej swój pełni, dla tego pociąga i zachwycę: trudności muzyczne tworzy sztuka i umiejętność posługiwania się nią, nie więc dziwnego że z natchnieniem muzyka zostają często w rozbracie. Nie idzie to jednak o ich zupełne unikanie, są one konieczne jak cienie w utworze malarza, ale o ich umiejętnie we właściwym miejscu użycie, o tyle, o ile główna myśl tego się domaga.

Mówiąc o muzyce niepodobna mi zamilczeć niespodzianki jaką małe gronko lubowników muzyki przygotowało w zeszłym tygodniu na dzień imienin dla jednej z tutejszych pianistek amateerek pani L. głównej podpory zebrań muzycznych przez to gronko w zimie urządzanych. Był to prawdziwy domowy koncert w którym przy pomocy fortepianu, skrzypiec, wiolonczeli i chóru męskiego, różne wyjątki z najpierwszych arcydzieł wykonano według programu naprzód ułożonego.

Pomiedzy niemi był odśpiewany duet ułożony na głosy męskie przez p. Oborskiego i tercet na takie same głosy kompozycji p. Statlera. Nad wartością obu tych utworów jak i nad ich wykonaniem rozwodzić się nie będę; wszystko szło porządnie, bez zatrzymywania się, bez myłek, bez poprawek, tak psujących efekt a przez artystów domorosłych dość często praktykowanych. O p. Oborskim już kilka razy wspominałem w moich pogadankach: p. Statler głównie poświadcza się jako już artysta z powołania, kompozycji kościelnej w której rozwija zasoby niepospolitego talentu.

Podając wiadomość o tej artystycznej zabawie, nie idzie mi zupełnie o schlebienie, lub wyzebrywanie podzięk, inną tu zupełnie myślą jestem powodowany. Oto pragnąłbym młode panienki i młodzień zachęcić do oddawania się nauce muzyki z większem niż się to zdarza zamiłowaniem, i żeby niekoniecznie fortepjan jedynym był instrumentem do tego wybieranym. Do chóru mogą także należeć głosy nie pierwszorzędną wartości, byle był słuch dobry i jaki taki ton w piersi. Solowe bo-

wiem wystąpienia wymagają niemałego talentu, pracy i gustu, aby zająć potrafiły: w zbiorowych zaś zebraniach pojedyncze zdolności w połączeniu potęgają się, braki zacierają i nie tyle stają się widocznymi. Ile zaś z tych zebrań dla uczestników płynnie przyjemności, nad tem sądzę że nie trzeba się wiele rozwodzić. Sztuki piękne zalecają się tą własnością, że obudziwszy zamiłowanie pochłaniają cały czas przeznaczony odpoczynkowi i tym sposobem oddają go szlachetnej rozrywce, każąc zapominać o wszelkich ponętach światowych, do których młodość tak lubi ręce wyciągać.

Na zaimprovizowanym też koncercie u pani L. bawiono się całą duszą, jak się to nie wszędzie i nie zawsze zdarza... córka zaś zaczęła gospodyni, bardzo młodziutka panienka ułożyła na wiązanie wierszyki, serdecznem słowem malujące jej miłość i przywiązanie do rodzicielki. Są one następujące:

Mateczko droga! niosę życzenia
Zawsze jak wiosna tak świeże,
A w nich się mieszczą moje marzenia,
To czego pragnę, w co wierzę.

Wszystko Ci powiem: o! bądź szczęśliwa,
W szczęściu odbłyśki są nieba,
Lecz szczęście różne na świecie bywa,
Czegóżby Tobie potrzeba?

Spokoju? Spokój w kobiecie życiu,
Świeci jak ciepłe słoneczko —
Kłopoty, troski, przed niem w ukryciu,
O! bądź spokojna Mateczko.

Zdrowia? to zawsze koniecznym sługą,
A tobie trzeba sił wiele,
Bo cię kochamy, musisz żyć długo,
Więc miejże zdrowie Aniele!

Ach! wesołości — dosyć leż było,
Niech uśmiech kwitnąć zaczyna,
Zapomnij przeszłości — wszak to się śniło?
Bądź już wesołą Jedyną,

Mateczko moja! życzenia cudne,
Mają być starte rozwiane,
Jak wszystko w świecie niktające, złudne?
O nie! już Bogu posłane.

Cecylia L.

O czem?

Pytasz, o czem myślałem? Utkwiwszy wzrok w dali
Jam myślał, że nie patrząc na ciebie, nie zdoła
Mistrz żaden stworzyć sztuce powabu anioła —
Że w modrych twoich oczach tysiąc nieb się pali,

Tysiąc nieb i jutrzeńek milion. Że drobne
Usteczka twe wrą jakby skąpane w purpurze,
Że lica twoje śnieżne jakby białe róże,
Że zorzy, kutęj z srebra, twe czoło podobne —

Że śpiące na tem czole ciche rozmarzenie
Przez sen całuje włoski twoje, jak len płowe,
Że na twych białych rączkach żyłki fioletowe
Muszą mieć woń fiołków... Żeś śliczna szalenie!

I, że dobrze się stało, iż Bóg, w dniach twórczenia,
Zastępcę dusz dla ziemi odłożył do końca,
Bo, chcąc rozjaśnić ciemność, byłby w miejsce słońca,
Dał ciębie na królową dla niebios sklepienia.

Adam Maszewski.

WIADOMOSCI BIBLIOGRAFICZNE.

Świat Duchów czyli sny, przeczucia i widzenia zebrał Leon Rogalski. Warszawa 1869 r. zeszyt I i II.

Co sądzić o podobnych przedmiotach, a zatem i tego rodzaju publikacjach dostatecznie okazał pod względem filozoficznym B. Trentowski w swojej *Demonomanii*, a pod względem lekarskim Professor Szokalski w dziele p. t. *Fantastyczne zjawiska etc.*

W dzisiejszym wieku, w którym się w nie nie wierzy, niepodobna przypuszczać aby zebrane ciekawe nadprzyrodzone wypadki, mogły jakiego materialistę w spirytualistę przemienić. Dla tego trudno pojąć celu tych cudownych historii, chociaż z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że wytrawne pióro p. Rogalskiego umiało je uczynić wiele ciekawiającymi. W każdym razie żałować należy, że tak wydawca jak tłomacz, w innym kierunku pracy swęj nie rozwinęli. Przesądów, przywidzeń, zabobonów i tak więcej między ludźmi jak na to sławiona cywilizacja XIX wieku pozwala, pocóż więc umacniać je, i powagą źródeł zkaż fakta poczerpnąć niejako usprawiedliwiać. Gdyby wypadki krytycznie były przedstawione, służyłyby przynajmniej mogły jako materiał dla badaczy wrażeń mózgowych: dane bez tego bardzo są podobne do opowiadań nianiek, za które łajemy je, a działki bronimy, aby umysł swych strachami nie rozpalali.

O UBIORACH.

Będąc w tych dniach w magazynie panien Kuhnke, widzieliśmy kilka ślicznych sukien i kostiumów wykonanych według modeli paryżskich.

Suknia czarna jedwabna, długa powłóczysta, miała przód naszyty w podłuż plisami z wypustką koloru lapisowego, przód ten oznaczał jakby osobną spódniczkę. Dolne bryty odwinięte na zewnątrz, tworzyły klapy ogarniowane falbanką, z wypustką lapisową. Z tyłu szła baskina (*puff*) zakończona wodą objęta wypustkami, podpięta po bokach na wielkie rozety z materji czarnej z takąż wypustką lapisową. Stanik gładki, miał karczek oznaczony plisą — u szyi nagarniowana była w górę kryza z materji, zapięta z przodu na rozetę. Rękawy całe naszyte były w podłuż plisami. Pod kryzę jedwabną szła koronka.

Kostium czarny jedwabny *poult de soie*, miał spódniczkę złożoną z dwóch części. Z tyłu szło pięć falbanek danyh jedna nad drugą.

Przód z dwoma falbankami u dołu, tworzył jakby fartuszek po bokach, odznaczony plisami czarnymi z wypustką *mais*; wszystkie falbanki wycięte w ostre zęby, kończyły się takąż wypustką. Od boków do tyłu szła baskina (*panier*) ogarniowana plisami. Stanik gładki pokryty był z wierzchu małą chusteczką, cała naszyta plisami z falbaną u dołu.

Inny kostium z lekkiej tkaniny popielatej na pół mieszanęj z jedwabiem, miał spódniczkę złożoną z trzech części; przód zakończony wolantem, tworzył niby fartuszek. Po bokach szły bryty do ziemi. Z tyłu dany był znowu wolant. Na wierzchu szła tunika kamargo z marszczonemi plecami, przepasana szarfą, zakończona u dołu wolantem. Od szyi spadała niby pelerynka, złożona z wielkiej prostej falbany przymarszczonęj w górze. Rękawy miały odwiniętą od ręki falbanę.

W ogólności do dzisiejszych sukien i kostiumów, używane bardzo wolanty i falbanki, których liczba jest niekiedy tak wielka iż pokrywają całą spódniczkę. Falbanki te dają głównie do sukien lekkich i taniach, kosztowniejsze suknie jedwabne, dają się często widzieć zupełnie gładkie lub nagarniowane koronką.

Z lekkich zupełnie kostiumów uważaliśmy jeszcze bardzo ładny lila, zakończony u dołu trzema dosyć szerokimi wolantami. Stanik zwyczajny spinał się na guziki. Od stanika spadała na spódnicę wielka tunika złożona z trzech wolantów, przypasanych szarfą. Tunika ta stanowiła okrywkę.

Z pomiędzy kapeluszy zwrócił uwagę naszą rodzaj faszonu zwany Charlotte Corday — złożony z białej blondyny, podwójnie nagarniowanej, jedna blondyna idzie w górę — druga spada na czoło jak woaletki. Między jedną a drugą — wpięty diadem z pączków róży w rozmaitych kolorach. Od tyłu idzie podpięcie z takichże pączków, od których długa gałązka spada na warkocz. Szarfy blondynowe podpięte odpowiednim bukietem, ładnie dopełniają całości.

Między stroikami na głowę uważaliśmy wielki dobór, zastosowany do każdego wieku i każdej twarzy.

Dla młodych mężatek zalecamy tak zwane puffy z wstążeczek kolorowych, przybrane niekiedy kwiatkami, lub nagarniowane koroneczką. Puffy te wpinają się powyżej niobów — końce ze wstążki otaczają warkocz.

Śliczny był taki puff ze wstążki mocno niebieskiej, przybrany białemi margierytkami; w koło warkocza przechodził rulon z atlasu — przepinany takimiż kwiatkami w odstępach.

Dla mężatki cokolwiek starszej -- podobał nam się bardzo stroik z koronki czarnej. Nad czołem zdołił go puff z aksamitu cerise, otoczony kłosami i koronką, końce spadały na warkocz. W tyle zdołił go małeńki wianek z kłosów.

Inny stroik z białej blondyny — miał wysoki diadem z fijołków białych, lila i fijołkowych, pomieszanych z liśćmi. Na tył głowy spadała gałązka z fijołków. Końce ze wstążki związywały się pod warkoczem.

Opis deseni do haftu i sześciu sukien z krojami.

N. 1. Bluzka z fijołkowego fularu albo tybetu

Krój Fig. 7—9.

Na bluzkę kraje się z fularu i perkalu na podszewkę podług fig. 7 dwie części, z dodaniem 4 centym. przy przednim brzegu, który z prawej strony obrębia się, z lewej zaś służy za listewkę. Plecy kraja się w całości wzdłuż linii środkowej i rękawy podług fig. 9 z uwagą na dolny ich wykrój. Po sfastrzygowaniu wierzchu z podszewką i zeszytciu wszystkich części, obejmuje się wykrój szyi atlasową wypustką i garniruje falbanką z materiału bluzki i atlasowemi rulonikami, naszywając je w kształcie kwadratowego wykroju. Guziki do zapinania bluzki atlasowe.

N. 2. Bluzka z popeliny lub „velours d'été.

(Krój Fig. 10).

Plecy i rękawy kraja się podług figury 8 i 9 przednie części podług fig. 10; te ostatnie wycinają się w zęby i podkładają atlasem albo *poult de soie*. Po zrobieniu zaszepek i zeszytciu wszystkich części, podszywa się z prawej strony bluzki listewka i obdzierguje dziurki do zapinania na guziki przyszyte z lewej strony. Rękawy odpowiednie mają mankiety.

N. 3. Suknia z „velours double“.

(Krój mantylki Fig. 13 i 14).

Dla młodych osób bardzo modne są takie pelerynki, czy to z czarnej materji do takiej samej spódniczki, jak i do sukien wełnianych z wyrobów gładkich. Plecy tej pelerynki układają się u dołu w fałdy i pokrywają paskiem, który na przodzie przyciska pelerynkę, również ułożoną w fałdy jak linje wskazują. Garnirunek stanowi falbanka i pliski z materiału sukni lub materji.

N. 4. Bluzka z szelkowem ubraniem.

Krój szelek Fig. 11 i 12.

Bluzka z tybetu fijołkowego kraje się zupełnie podług Fig. 7, 8 i 9, szelki zaś podług Fig. 11 i 12 z tybetu, sztywnego muślinu i fularu na podszewkę. Zęby obejmują się fijołkową lub czarną materją i pliskami, a po zupełnem wykończeniu szelek przyszywają się na plecach stanika, zostawiając je od ramion wolno spadające do przycięcia paskiem.

N. 5. Suknia z popielatego fularu wełnianego.

Suknia ze stanikiem i rękawami zrobione są z popielatego fularu w czarne paski, tunika i pelerynka z gładkiego fularu popielatego, objęta takąż pliską i jedwabną frendzelką popielatą. Na bokach tunika podpięta jest rozetą ze wstążeczki mantynowej lub z materiału sukni.

N. 6 i 7. Kołnierzyk webowy z haftem atlasowym.

N. 8 i 9. Kołnierzyk i mankiet na ścieg meksykański, wyszyty czarnym jedwabiem.

N. 10, 11 i 12. Kołnierzyk, mankiet i szlaczek do bluzki muślinowej lub półbatystowej.

N. 13. Narożnik do batystowej poszewki. Drobne punkciaki w listkach oznaczają; stembenek kółka, ażurowe dziurki; w największych kwiatach krateczki koronkowe.

N. 14, 15 i 16. Narożniki do chustek od nosa.

N. 17 i 18. Litera do znaczenia poszewek i prześcieradeł.

N. 19 — 35. Rozmaite litera i szlaczki do bielizny.

Odwrotna strona arkusza z krojami.

Kostium z czarnego *poult de soie*.

Krój mantylki Fig. 1—6.

Ubranie to składa się ze sukni z gładkim stanikiem albo bluzką przykrojonęj podług Fig. 7—9; i z mantylki zwanęj „*mantelet-écharpe*“ — która się kraje podług Fig. 1 i 3 po dwie części, podług Fig. 2 i 4 po jednej części w całości. Zeszytciu mantylki wykonywa się podług liter jednogodnych, zostawiając w bokach małe rozporki do przeprowadzenia paska 4 centy. szerokiego, ułożonego w fałdy ze skośno krajanęj materji i przyozdobionego z przodu małą kokardką.

Mantylka garniowana jest 6 cent. szeroką falbanką, karoczek i szarfę 4 centy. szeroką — suknia zaś u dołu 8 do 10 centym. szerokimi falbankami. Po ułożeniu karoczka u góry w fałdy, przyszywa się go do pleców i razem przymocowywa szarfę 56 cent. długie, 16 cent. szerokie, z kokardą w samym stanie, złożoną z czterech pukli 10 cent. długich i tak samo szerokich.

Korespondencja.

Pani E. Arn. Nuty przed kilku tygodniami wysłane zostały.

Pani Olimpij Dobo. W liście wymieniono. „Paletot czarny Syberyjowy wolny“. Za 10 rs. może być tylko z lichszych gatunków sukna, z dobrego materiału kosztuje od 20 do 30 rs.

Pani Kamilli Goław. Numer pisma naszego regularnie wysyłamy dla prenumeratorów co tydzień w Sobotę pocztą; nieakuratne odbieranie nie z naszej winy pochodzi. Ryciny z mundurem studenckim Redakcja nie posiada.

Pani Amelji Janow. Komplet Ty. Mód z pierwszego kwartału r. b. wysłany został, oraz 4 bilety na loterję fantową. Mieszkania członków Dobroczynności nie są nam wiadome.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz z deseniami do haftu i pięć sukien z krojami.